Cena 30 groszy

Świat MŁODYCH

Nr 5 (104) Warszawa, 29. I. 1951 r.

PISMO MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ I SZKOLNEJ

Na zdjęciu grupka dzieci wyzwolonego Phenianu ze swoją nauczycielką.

Harcerki ze Szkoły Podstawowej w Czarnowąsach wykonują własnoręcznie podarki. (Zdjęcie do reportażu obok).

Zbierają podarki

Z naszego pisma „Świat Młodych" dowiedzieliśmy się o zbiórce podarków noworocznych dla bohaterskich dzieci koreańskich. Mówiliśmy o tym na zbiórkach zastępów. Później zrobiliśmy naradę aktywu dziecięcego naszej szkoły. Postanowiliśmy natychmiast przystąpić do zbiórki darów w naszej wsi. Porozumieliśmy się z Gminnym Komitetem Obrońców Pokoju, dostaliśmy tam druki i listy. Zaczęliśmy zbiórkę. Przez dwa dni wytężonej pracy zebraliśmy wśród mało- i średniorolnych chłopów dużo różnych darów. Zauważyliśmy jednak że bogacze wiejscy, zawsze mieli coś do powiedzenia, aby tylko nic nie dać, bo im na pokoju nie zależy. Oni w czasie wojny wzbogacili się. Za to biedni chłopi z naszej wsi, wiedzą, co to znaczy głód i nędza. Każdy z nich dając podarek chciał w ten sposób wyrazić solidarność z dzielnym narodem koreańskim.

BOLESŁAW KISZKA
Przewodniczący Rady Zastępu kl. VI
Skoły Podstawowej w Wierzbnie, pow. Zamość

Przed półroczem

Aby osiągnąć lepsze wyniki w nauce, klasa nasza podzielona została na zespoły. Zespół taki liczy 5 — 6 członków. Członkowie każdego zespołu obowiązani są nie tylko sami dobrze się uczyć, ale także pomagać drugim. W zespołach zorganizowaliśmy douczanie. Odbywa się ono po lekcjach, w szkole i w domu. Każdy zespół ma swego przewodniczącego, który odpowiada za organizowanie pomocy w nauce. Wyniki pracy zespołu zapisujemy na specjalnej liście i podajemy na zebraniach klasowych. Nasze zebrania klasowe odbywają się co dwa tygodnie. Omawiamy na nich wyniki w nauce, wyróżniamy najlepszych i ganimy bumelantów. Spośród przodującego zespołu wybieramy przodownika w nauce i w pracy społecznej. Odznaczamy go proporczykiem. Proporczyk, jest to nieduża chorągiewka, którą do-

stał w roku ubiegłym od komitetu rodzicielskiego przodujący w nauce zespół. Przodownik zespołu wyróżnia się w klasie nie tylko pracą społeczną, nauką, ale i zachowaniem się — w szkole i poza szkołą. O proporczyk ubiegają się wszystkie zespoły. Proporczyk stojący na ławce przodownika jest chlubą całej klasy, a szczególnie zespołu, który go otrzymał.

Rada Zastępu z Kl. VII
Szkoły Podstawowej Nr. 3
w Łowiczu

Te podarki – wykonaliśmy wspólnie

Szybko upływa zimowe popołudnie.

A dzisiejsza zbiórka trwa dłużej niż zwykle. Bo jest to niecodzienna zbiórka.

W dużej jasnej sali szkolnej zebrali się harcerze. Dwa ogniwa: żeńskie i męskie z zastępu klasy siódmej.

— Musimy się śpieszyć — mówi **Grażyna Dubiniewicz** — przewodnicząca rady zastępu — bo na sobotę przygotowujemy wieczornicę o bohaterskiej Korei. Chcemy na niej podsumować wyniki naszej akcji pomocy koreańskim braciom.

Roboty jest rzeczywiście mnóstwo. **Danusia Baronówna** sama szyje sukienkę.

— Mamusia mi tylko trochę w tym pomogła, bo jeszcze wszystkiego nie potrafię — wyjaśnia.

Grażynka szyje ciepłe koszulki. Pozostałe koleżanki sprawnie przebierają drutami. Oczko za oczkiem, powstają sweterki, szaliki, rękawiczki i skarpetki.

Chłopcy zajmują się czym innym. Robią w pracowni piękne zabawki. Czego tu nie ma: samoloty, samochody, traktory, — cały zaczarowany świat, który zburzyli koreańskim dzieciom amerykańscy grabieżcy.

Mietek Greszeta troszczy się o każdy szczegół swego samolotu. Chce go wykonać jak najlepiej. I nie tylko on wkłada w wykonanie podarku całe swoje serce. Widać to w pracach wszystkich harcerzy **szkoły TPD w Opolu**. Bo z tymi podarkami posyłają oni głęboko przeżyte, serdeczne uczucia szczerej przyjaźni i braterstwa.

Chociaż koreańscy bracia walczą o kilka tysięcy kilometrów od nich, ale walczą o to samo, o co oni tutaj w szkole — o to, aby już nigdy nie uśmiercano człowieka, aby każdy żył szczęśliwie — o pokój!

I dlatego są im tak bardzo bliscy.

W drugiej szkole na Opolszczyźnie we wsi **Czarnowąs** — harcerze również nie zapominają o potrzebach swoich przyjaciół w Korei. Już na korytarzu widać czym żyje drużyna. Na ścianach wiszą gazetki ścienne poświęcone bohaterskim koreańczykom i hasła nawołujące wszystkich do niesienia pomocy ich dzieciom.

We wszystkich zastępach wre praca. Dziewczęta przygotowują ciepłą wełnianą odzież, którą same wykonują na drutach.

Chłopcy robią skrzynki na podarki. Po lekcjach pomagają również Komitetom zbierać podarki wśród miejscowej ludności.

— My wiemy — mówi **Krysia Długosz** — że nasi koledzy w Korei bardzo się ucieszą, kiedy dostaną te rzeczy.

— Bo my razem z nimi walczymy o pokój tutaj w szkole — dodaje **Zdzisław Sawka.**

Ale Eryk Smyk z V-tej klasy najlepiej wyraża uczucia wszystkich, kiedy mówi: — Nasi koledzy w Korei najwięcej się ucieszą tym, że nie są sami w swej walce, że na całym świecie mają tylu przyjaciół, walczących o pokój.

To samo myślą i przeżywają wszyscy harcerze w Polsce. Kiedy pomagają w zbiórce podarków Komitetom Zbiórkowym, kiedy chodzą od domu do domu u boku zetempowców, zbierając szczodre dary dla koreańskich przyjaciół. Z tymi uczuciami w sercu wykonują sami podarki, robią ulotki zachęcające innych do ofiarności, zbierają złom i butelki, aby dary kupione za uzyskane pieniądze przekazać swym rówieśnikom, którym kapitalistyczni barbarzyńcy zabijają rodziców, burzą domy i szkoły.

Harcerze z miłością myślą o swych braciszkach w Korei. Pomagają im ze wszystkich sił, z tym przekonaniem, że pokój zwyciężymy wojnę! Bo o pokój razem z bohaterskim narodem koreańskim — walczą ludzie pracy na całym świecie.

ZDZISŁAW BILSKI

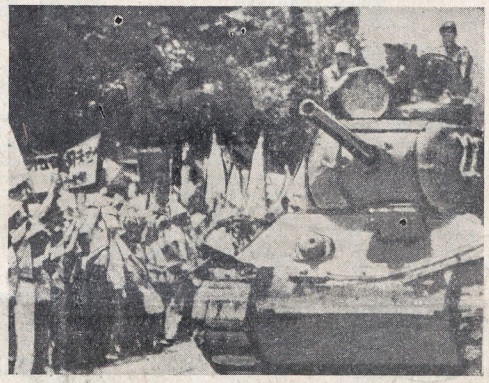

Jeszcze jedno miasta wyzwolone! Ludność radośnie wita wkraczające czołgi Armii Ludowej.

Na zdjęciu manifestacja pokojowa w jednym z wyzwolonych miast północno-koreańskich.

Dwie rocznice

Z historii polskiego ruchu robotniczego

28 stycznia 1886 r. stracono na stokach cytadeli Warszawskiej czterech działaczy „Proletariatu" — Kunickiego, Bardowskiego, Pietrusińskiego i Ossowskiego. Przywódca „Proletariatu" Ludwik Waryński został skazany na 16 lat katorgi.

Proces 29 „proletariatczyków" ciągnął się długo, przeszło miesiąc. W czasie procesu przemawiali oskarżeni. „Cała moja wina — to miłość do ludu, za uwolnienie którego gotów jestem do ostatniej kropli krwi przelać krew swoją" — powiedział Kunicki.

„Proletariat" to pierwsza w Polsce robotnicza, rewolucyjna partia, która współdziałała ściśle z rosyjskim ruchem rewolucyjnym. Po raz pierwszy w naszej historii robotnicy zorganizowali się, wystąpili do walki o swe prawo i o wyzwolenie narodowe. Burżuazja głosiła hasła porozumienia ugody z carem, nie myślała o **stworzeniu niepodległej, wolnej od jarzma carskiego Polski. O taką Polskę chcieli walczyć tylko robotnicy polscy, tylko ich partia — „Proletariat".**

Rok 1905. 22 stycznia policja carska zmasakrowała w Petersburgu robotników, którzy w pochodzie przeszli pod Pałac Zimowy, aby domagać się od cara ukrócenia samowoli kapitalistów i poprawy swego położenia. Zabito przeszło 1000, zraniono 2000 robotników. „Krwawa Niedziela" stała się hasłem do wybuchu strajków i ku zawych starć. Robotników rosyjskich mobilizowali do walki bolszewicy. A w ślad za robotnikami zaczęli buntować się i chłopi.

Na czele polskiej klasy robotniczej stała SDKPiL, najbliższa bolszewikom ze wszystkich partii socjal — demokratycznych.

SDKPiL poprowadziła robotników do wielkich strajków — ogarnęły one Łódź, Warszawę, Żyrardów i Zagłębie Dąbrowskie. Zastrajkowała i młodzież szkolna. Klasa robotnicza nie była jednak jeszcze dość silna i sprężyście zorganizowana, aby odnieść ostateczne zwycięstwo. Rewolucja upadła.

Znaczenie jej dla ruchu robotniczego, dla rozwoju uświadomienia politycznego wyzyskiwanych robotników było jednak wielkie. **Lenin pisał: „Dzięki tej walce nowy duch powiał po całej masie ludu rosyjskiego... dopiero teraz lud rosyjski otrzymał wychowanie naprawdę demokratyczne, naprawdę rewolucyjne. Bez „generalnej próby" roku 1905 zwycięstwo rewolucji październikowej 1917 roku byłoby niemożliwe."**

Rok 1905. Demonstrację strajkujących robotników Warszawy usiłuje rozpędzić carska policja.

Szybciej wykonamy plan

18.1. rb. Sejm Ustawodawczy uchwalił ustawę o dniach wolnych od pracy. Ustawa ta znosi kilka mniej ważnych świąt kościelnych, obchodzenie których nie było związane głęboko z polskimi tradycjami narodowymi i które nie są świętami w większości krajów Europy. Znosi się też jako dni wolne od pracy 3 i 9 maja. W dniach tych, w latach ubiegłych z własnej woli przystępowaliśmy do pracy, chcąc przyczynić się do jeszcze szybszego wykonania zadań Planu 6-letniego.

Czy wiecie, co da naszemu budownictwu, Planowi 6-letniemu zmniejszenie ilości dni wolnych od pracy? **Dzięki nowej ustawie w przeciągu samego tylko roku 1951 będziemy mogli wybudować 2.000, a do końca realizacji planu 10.000 nowych izb mieszkalnych!** W okresie Planu 6-letniego zyskamy dzięki skasowaniu nadmiernej ilości świąt pełny miesiąc roboczy. O miesiąc wcześniej będziemy mogli wykonać wielkie zadania sześciolatki, wyprodukujemy tysiące i miliony ton towarów ponad plan.

Dzięki ustawie zyskujecie kilka nowych dni nauki w ciągu roku. Będziecie mogli wykorzystać je na lepsze, gruntowniejsze opanowanie materiału, na pogłębienie Waszych wiadomości.

Ustawa o dniach wolnych od pracy pomoże nam szybciej zrealizować nasz wielki Plan 6-letni!

Czy wiecie że...

Od 1 stycznia r. b. rząd angielski zmniejszył przydziały mięsa i słoniny (żywność w Anglii wydaje się bowiem nadal na kartki). Nowe przydziały są niższe od wszystkich dotychczasowych, a więc nawet tych, które były w czasie wojny. Ceny na żywność i ubrania są coraz większe.

W Stanach Zjednoczonych rząd wykupił i zniszczył w ub. roku 726.400 ton kartofli. Starczyłyby one na zaopatrzenie 12 milionów ludzi na przeciąg całego roku.

Rząd Wielkiej Brytanii zmniejsza przydziały, wydaje żywność na kartki, a rząd USA zatapia produkty w morzu... Maluje to wyraźnie stosunki między tymi „zaprzyjaźnionymi" państwami, obrazuje „opiekę" Ameryki.

Amerykańscy bankierzy i handlarze myślą tylko o swoich zyskach. Gdyby kartofle czy inne produkty znalazły się na rynku w dużych ilościach, ceny ich obniżyłyby się. A do tego kapitaliści nie chcą dopuścić. Obniżka cen pociągnęłaby przecież za sobą zniżkę ich zysków. Więc wrzucają tony żywności do morza.

Nie obchodzi ich, że tysiące ludzi w ich kraju głodują, że coraz bardziej kurczą się przydziały i obniża się stopa życiowa sojuszniczych krajów, w pogoni za zyskiem gotowi są zagłodzić miliony ludzi.

Kartka z albumu przestępców

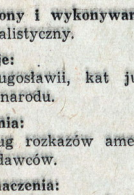

Nazwisko: TITO

Wykształcenie: handlowe. Specjalność: sprzedaż Jugosławii amerykańskim kapitalistom.

Zawód wyuczony i wykonywany: agent kapitalistyczny.

Obecne funkcje: dyktator Jugosławii, kat jugosłowiańskiego narodu.

Sposób działania: ściśle według rozkazów amerykańskich mocodawców.

Ordery i odznaczenia: niezliczone mnóstwo nadanych sobie własnoręcznie. Złoty Medal Dulara za prześladowanie działaczy postępowych.

Znaki szczególne: Ciężar olbrzymiego ciełska równy jest w przybliżeniu wadze pięciu, wygłodzonych przez titowskie rządy, jugosłowiańskich robotników.

Ostatnie miejsce przestępstwa: Jugosławia.

Na plebanii w Wolbromiu skazano Waldka na śmierć

NA plebanię przychodzi uczeń IX-klasy, Barczyk. Grozi mu niezdanie matury. Chce więc zamordować nauczycielkę. „Wychowawca", ks. Gadomski doradza zastosować tylko chłostę. Nauczycielka Boratyńska jest chora, może to wystarczy...

*

KS. Oborski — zeznaje Grabińska, matka zamordowanego Waldka — odpowiedział:

— Nie ma mowy o grzechu tam, gdzieby pani zabiła we własnej obronie, a był czas, że sam wydawałem wyroki, kiedy zachodziła potrzeba. Niech się pani nie martwi...

Łupka powiedział, że postanowionę jest w dowództwie, że obojętne, czy w mieszkaniu na łóżku, czy na podwórzu, tam gdzie się go zastanie, tam musi się to wykonać. (Chodzi o zamordowanie Waldka — przyp. W. K.)

Zapytałam się, co ja mam napisać, powiedział:

— Proszę napisać: „Zgadzam się na usunięcie syna mego, Waldemara, ponieważ jest na usługach milicji" — czy — „obecnego ustroju" — tego nie pamiętam.

Łupka powiedział potem:

— Niech pani idzie do ks. Oborskiego.

*

PRZODEM idą Waldek i Krężel, za nimi Barczyk i Rogalski. Droga do domu Podsiadło daleka, ale wkrótce Krężel oświadczył:

„Dokąd będziemy się ciągnąć?"

— Wyciąga pistolet i naciska spust, pistolet nie odpala. Barczyk oddaje dwa strzały, po faszystowsku w tył głowy.

Waldek odwraca się:

— „Stasiu, co robisz?"

Pada trzeci strzał. Waldek nie żyje. Kopią rów, zdzierają buty, wyciągają z kieszeni 200 zł, zakopują trupa... i aby dopełnić miarę zakłamania i świętokradztwa — mordercy modlą się nad grobem swej ofiary.

Oprawcy wracają do miasta. Broń oddają Podsiadło i rozchodzą się do domów. A u Podsiadło — libacja. Pije Podsiadło, Łupka, Pabian i na wpół obłąkana matka. A Waldek leży już w ziemi. Tam właśnie „zabezpieczył" go Łupka, zabezpieczyła go banda, tam „ukrył" go ks. Oborski. (Z przemówienia prokuratora).

*

DOŚĆ. Choć karząca ręka sprawiedliwości dosięgła już winnych — nie można czytać tych słów z procesu bandytów występujących pod nazwą „Armia Polska", bez odrazy i nienawiści.

„...Milicjant strzegący budownictwa Polski Ludowej, nauczyciel, wychowujący młodzież do życia w tej Polsce i dziecko, które pragnie złożyć meldunek o zbrodniczej działalności bandytów — oto ofiary kierowanej przez ks. Oborskiego i ks. Gadomskiego bandy. A lista tych ofiar nie była bynajmniej zamknięta — mówiono o Stasiurce, którego także chciano zamordować, mówiono o nauczycielce Boratyńskiej, pobito, obrabowano, Tekielę i Koniecznych". (Z przemówienia prokuratora).

*

BYLI ludzie, którzy słysząc o okrucieństwach w Oświęcimiu czy Majdanku — mówili: „Nie do wiary... Jeden chyba naród niemiecki jest do tego zdolny". Aż ujrzeli zdjęcia z okrucieństw amerykańskich na Korei i dodawali..." no i chyba Amerykanie są zdolni do takich zbrodni".

Za jednym i drugim razem nie mieli racji. **Nie rozumieli prostej prawdy — nie narodowość, a nienawiść do ludu, zdrada własnego narodu, zaprzedanie wrogom postępu — faszyzm, prowadzi na drogę straszliwych, niewiarygodnie ohydnych zbrodni.**

Niemiec, Amerykanin, Polak czy Francuz, jeśli jest faszystą, sługusem imperialistycznym, nie zna granic zbrodni.

I teraz przestaje być dziwne, że w tej samej Polsce, w której powstała trasa W — Z, w której buduje się metro i Nową Hutę, w tej samej Polsce, w której zetempowiec Kawczyk wynajduje nowy sposób wzbogacania kraju — faszyści, nienawidzący tę Polskę, mordują, niszczą, przestają być ludźmi.

Przestaje dziwić zwyrodnienie matki podpisującej wyrok śmierci na 14-letniego syna, przestaje dziwić zwyrodnienie jego starszych „kolegów", którzy po zamordowaniu go i starannym zakopaniu zwłok, odprawiają modły...

I może po ogłoszeniu przez sąd wyroku, sprawa jako groźna przestroga dla tych, którzy lecą na lep bandytów i zdrajców przeszłaby, już jako sprawiedliwie zamkniętą, do księgi hańby reakcji polskiej — gdyby nie specjalny jej moment:

Bandyci z „AP" — Adamus i Podsiadło, Grabińska i Piwowarski, Barczyk i Krężel nie byli sami. Stali za nimi dwaj księża. Jeden o dużym wykształceniu, cwany bandyta, ks. dziekan Oborski i drugi choć bandyta niemniejszy, w hierarchii kościelnej niżej stojący — ks. wikary Gadomski. Oni to w szkole przy konfesjonale mówili o moralności katolickiej, a bandytom wręczali pistolet do ręki i wmówili matce Waldka, że podpisanie wyroku śmierci na własnego syna w obronie bandyty nie jest zbrodnią.

Nienawiść do naszego wspaniałego kraju, jego rosnących fabryk i bogatych w zboża pól, do pogodnych ludzi na traktorach, do synów robotniczych i chłopskich w laboratoriach i na katedrach uniwersyteckich, do małych harcerzy dźwigających zebrany złom i do przedszkolaków śpiewających przejętymi głosikami Międzynarodówkę — oto, co pod czarnymi sutannami i krzyżem na piersiach — gorzało w sercach tych zbrodniczych księży.

14-letni Waldek chciał iść powiedzieć naszym władzom o rozmowach i broni, którą widział w domu. **Był dzieckiem ludowego państwa, więc nie mógł zrozumieć tej nienawiści wrogów do Polski,** Polski która rośnie i rość będzie wysiłkiem całego narodu, usuwając bezlitośnie ze swej drogi zawalidrogów i bandytów.

W ciemnocie, wśród oparów wódki i dewockiej wiary w „świętość" księdza, rośnie taka nienawiść do wszystkiego, co piękne i twórcze.

Za złymi krukami w czarnych sukniach, Oborskim i Gadomskim stoi jeszcze jeden sprzymierzeniec. Milczenie zwierzchniej władzy kościelnej w Polsce — Episkopatu katolickiego. Porozumienie między Rządem i Episkopatem, zawarte 14-go kwietnia 1950 r. głosi: „Kościół Katolicki, potępiając zgodnie ze swymi założeniami każdą zbrodnię, zwalczać będzie również zbrodniczą działalność band podziemia i będzie piętnował i karał konsekwencjami kanonicznymi duchowieństwo winne udziału w jakiejkolwiek akcji podziemnej i antypolskiej".

Mimo uroczystego zobowiązania karania morderców, bandytów, szpiegów w sutannach i w habitach — Episkopat nie wypełnia swych zobowiązań. Biskup Kaczmarek, zwierzchnik Oborskiego i Gadomskiego — przyzwalająco milczał. Biskupi często milczą...

Proces grupy „AP" mówi raz jeszcze o tym, że nie ma większej ohydy, niż zdrada własnego narodu, niż służba imperialistom, niż faszyzm.

Ale proces grupy „AP" mówi również o tym, że si'a naszego ludowego państwa jest dostateczna, by zwalczyć wszystkich wrogów narodu i tych z bronią w ręku i tych, którzy za nimi stoją.

WOJCIECH KRASUCKI

Prześcigneliśmy rok

Przypuśćmy, że gdzieś w Polsce stoi wysoka, bardzo wysoka wieża. Z wierzchołka tej wieży, przez olbrzymią lunetę można oglądać każdy, najdalszy kraniec naszego kraju. Przypuśćmy, że obejrzeliśmy dokładnie całą Polskę w dniu 1 stycznia 1949 roku. Po raz drugi wchodzimy na tę wieżę za rok. Przykładamy oko do lunety, widzimy miasta, wsie, rzeki, drogi, mosty, lasy. Widzimy znów cały kraj. Porównujemy z tym, co oglądaliśmy przed rokiem i... na pierwszy rzut oka widzimy różnicę.

Horyzont zasnuty jest fabrycznym dymem. Liczymy długie kominy: jest ich więcej. Zaglądamy do wnętrza fabryk: produkują szybciej i lepiej. Gdybyśmy obliczyli wszystkie wyprodukowane w tym roku towary, dowiedzielibyśmy się, że wartość ich jest większa o około 1/3, od produkcji z roku 1949. Znając cyfrę produkcji przedwojennej, stwierdzilibyśmy, że w roku 1950 produkowaliśmy około dwa i pół raza więcej, niż przed wojną! W naszych fabrykach i magazynach widzimy maszyny z datą produkcji: rok 1950. Są wśród nich nowe typy obrabiarek, parowozy, maszyny rolnicze. Wiele jest takich, których nie wyrabiano w Polsce nigdy.

Wędrujemy naszą lunetą dalej. W miastach i wsiach spostrzegamy wiele nowiutkich, pięknych, murowanych domów. Zdaje nam się, że nie widzieliśmy ich rok temu, pamiętamy, że na miejscu wielu z nich były puste place. I słusznie. Bo w roku 1950 wybudowaliśmy domów, fabryk i innych użytecznych urządzeń około półtora raza więcej, niż w roku 1949: na miejsce każdych dwóch domów — trzy.

Szkło lunety przesuwamy po krajobrazie wiejskim. Widzimy wiele dużych, czysto urządzonych gospodarstw z murowanymi zabudowaniami. To spółdzielnie produkcyjne. Tych jest 9 razy więcej niż w roku 1949, ogółem — 2.200. W innych budynkach, Państwowych Ośrodkach Maszynowych liczymy traktory: jest ich 4.675 sztuk. Obszar ziemi obrobionej przez nie jest przeszło 10-krotnie większy niż w roku 1949.

Patrząc na nasze drogi, widzimy, że ruch na nich jest większy, samochody przewożą więcej towarów. Gdybyśmy szukali specjalnie samochodów PKS, to zobaczylibyśmy, że przewożą one prawie czterokrotnie więcej towarów niż w r. 1949.

W miastach, miasteczkach i wsiach obserwujemy duży ruch w sklepach. W sklepach uspołecznionych sprzedaje się ok. dwa i pół raza towarów więcej, niż w roku poprzednim. Znów nic dziwnego — więcej ludzi pracuje, większą wartość mają ich zarobki.

Na ulicach i drogach widzimy śpieszące do szkół dzieci. Jest ich więcej, niż w roku ubiegłym, bo i szkół jest więcej. Szkół podstawowych mamy 268 tysięcy, a więc liczba ich zwiększyła się o 1/4 w porównaniu z rokiem 1949.

Żeby dowiedzieć się tylu ciekawych rzeczy o zmianach, jakie zaszły w ciągu r. 1950, pierwszego roku Planu 6-letniego, niekoniecznie trzeba wchodzić na cudowną, wysoką wieżę — tym bardziej, że taka nie istnieje. Mówi nam o nich Komunikat Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego o wykonaniu Narodowego Planu Gospodarczego w r. 1950. Dzięki naszym przodownikom pracy, racjonalizatorom, inżynierom, tysiącznym rzeszom pracującej młodzieży, dzięki przyjaznej pomocy Związku Radzieckiego — pierwszy rok Planu Sześcioletniego wykonaliśmy z nadwyżką!

W drużynie harcerskiej przy Szkole Podstawowej T. P. D. w Opolu dziewczęta szyją ciepłą odzież. (Zdjęcie do reportażu na 1-ej stronie).

Harcerze we wsi Wężyska, pow. Krosno Odrzańskie niecierpliwie czekali na zbiórkę.

— Siedzieliśmy w domu z powodu panującej w klasie odry od 5 listopada do 8 grudnia, a tu tyle ważnych wydarzeń przesunęło się koło nas — powiedziała **Stasia Iwaśkówna.**

Po lekcjach wszyscy harcerze stawili się na zbiórkę. Zaczęto rozmawiać o tym, jakby nadrobić stracony czas. Wszyscy byli zdania, że najlepiej urządzić przedstawienie.

— Wykorzystamy wkładkę świetlicową „ „Świata Młodych" — zaproponowała Lusia.

— Oczywiście... „Choinka Eliny Monatti" — pochwyciły dzieci.

Zbyszek zapalił się do tej roboty:

— Zaprosimy wszystkich ludzi z naszych wsi. Pokażemy im jeszcze raz, dlaczego pragniemy pokoju i kto chce wojny.

— **Pokażemy, jaki to „dobrobyt" jest w krajach kapitalistycznych, gdzie dzieci robotników i chłopów mogą tylko marzyć o choince i zabawie, nie tak jak u nas — dodał Władzio Sawicki.** Bo nami opiekuje się rząd, partia i szkoła. Teraz właśnie Komitet Rodzicielski przygotowuje nam zabawę. I podarki będą.

Tak powstał projekt inscenizacji. Rozdano role. Każdy zastęp miał coś do roboty. Rozpoczęły się gorączkowe przygotowania. Dużo kłopotu było z dekoracjami. Lusia, główna inicjatorka przedstawienia, opracowała na podstawie „Świata Młodych" formy dekoracji i ubiorów. Pomocą i radą służyła jej kol. **Krawczyk,** opiekunka drużyny. Impreza miała się odbyć w świetlicy gromadzkiej. Wszyscy przystąpili do roboty.

Dnia 7.I. w świetlicy gromadzkiej zebrali się rodzice i zaproszeni goście. Panuje tu gwar i ścisk. Wszyscy ciekawie spoglądają na kurtynę. A tymczasem przedstawiciele Partii i organizacji społecznych składają dzieciom noworoczne życzenia pomyślnej nauki i dobrych wyników w pracy. Potem jeden z harcerzy zapewnił zebranych, że oni w szkole będą tak walczyć o wyniki w nauce, jak walczą robotnicy o coraz lepsze wyniki swej pracy.

Kurtyna poszła w górę. Przedstawienie rozpoczęte. Na scenie **Stasia Iwaśkówna** w roli matki i **Mila Stępowska,** jej córeczka. Czuje się z ich wymowy i ruchów, że żyją swymi rolami. Stasia mówi bezradnie, z żalem:

— Elino... nie, teraz do szkoły nie pójdziesz. Ja już nie mogę sobie dać rady... Teraz szkoła jest dla bogatych. A szkołę dla biednych może dać tylko jedna władza — robotnicza.

Na widowni powstaje szmer. Gdzieś z prawej strony słychać głos:

— Tak.., tak samo było u nas przed 39 rokiem.

Oto Elina w ubogim ciasnym pokoiku opowiada swej matce, co słyszała od panny Rafetti, dodając w końcu:

— A dzisiaj dzieci w Polsce zapalają świeczki na choinkę. Elina usypia i śni, że Dziadek Mróz przyniósł choinkę i dzieci tańczą koło niej.

I rzeczywiście na sali rozległy się dźwięki muzyki, a dzieci ruszyły do tańca. I przyszedł Dziadek Mróz, by rozdać podarki. Wszystkim było wesoło i dobrze. Bo przecież, o czym mała dziewczynka włoska mogła marzyć tylko we śnie, dla dzieci w Wężyskach stało jest prawdą, jest rzeczywistością.

JÓZEF GÓRSKI

Z noworocznych zabaw

Uczniowie i uczennice klasy VI-tej Szkoły Podstawowej w Sułkowicach piszą:

Gdy pierwszy raz po feriach przyszliśmy do szkoły, czekała nas miła niespodzianka. Otrzymaliśmy od redakcji dwa listy. Zachęceni tym, opisujemy nasze wrażenia z ferii zimowych. Do najmilszych wspomnień zaliczamy uroczystość choinkową, urządzoną dla nas przez Związek Zawodowy Metalowców, którego członkami są nasi ojcowie. Opowiadanie to dzielimy na części, ponieważ w naszym zastępie jest kilka ogniw i każde chciało pisać.

Stefek Postawa

W Sułkowicach jest bardzo dużo kowali. Jedni pracują w spółdzielni „Spólnota" i tam mają warsztaty, maszyny poruszane prądem elektrycznym. Inni kowale to chałupnicy rozrzuceni po całej wsi. Pracują w domach, a wyroby dostarczają do spółdzielni. Już niedługo jednak warunki ich pracy polepszą się. Oto obok starych budynków rośnie w oczach nowy, olbrzymi budynek przeznaczony na warsztaty. Tam będą pracować. Będzie tam także świetlica, łaźnia i piękna sala do przedstawień. Kowale i ślusarze należą do Związku Zawodowego Metalowców. W czasie ferii Związek ten urządził nam wielką uroczystość — choinkę noworoczną.

Tadek Bargieł

Uroczystość choinkowa odbyła się w sali Domu Ludowego. Wypełniona po brzegi, przez dzieci i rodziców sala, przystrojona była czerwonymi i biało-czerwonymi chorągiewkami. Na podwyższeniu stała pięknie ubrana choinka, od której nie można było oderwać oczu. Wśród zielonych gałązek świerku, na złotych nitkach kołysały się ozdoby oznaczające symbole pracy naszych ojców: kilofy, młoty i kowadła. Nad tym wszystkim wznosił się biały gołąb pokoju, który trzymał w dziobku zieloną gałązkę. Od tej gałązki zwisała niebieska szarfa. Oznacza ona Pokój. Choinka nasza spowita była łańcuchem z samych szóstek i żarzyła się od kolorowych żarówek.

Po bardzo ładnych przemówieniach robotników o Pokoju, Planie 6-letnim i znaczeniu naszej choinki noworocznej, deklamowaliśmy wiersze i śpiewaliśmy piosenki. Później zaczęły się tańce. Wszystkim podobał się krakowiak w wykonaniu naszego zespołu tanecznego w barwnych strojach ludowych. Wesoło bawiły się z nami dzieci z Myślenic, które przyjechały na naszą uroczystość. Dużo było uciechy, gdy dostaliśmy paczki ze słodyczami. Po herbatce znów wszystkie dzieci poszły tańczyć. Tyle niespodzianek i tyle radości przeżyliśmy tego dnia — zawdzięczamy to naszym ojcom-robotnikom. Długo będziemy wspominać ten dzień.

Stefka Sroka
Maria Pulka

PÓŁROCZE RADZIECKICH PIONIERÓW

PIERWSZE półrocze dobiega końca. Liczymy już ostatnie dni. Wkrótce otrzymamy świadectwa. Dla tych ,którzy pracowali sumiennie od początku roku, nie będą one przykrą niespodzianką. **Świadectwo — to przecież wynik pięciomiesięcznej pracy.** Dlatego właśnie w szkołach radzieckich o zakończeniu pierwszego półrocza myśli się od 1-go września.

Kiedy przegląda się komplet **„Pionierskiej Prawdy"**, to od razu rzuca się w oczy wielka ilość szkolnych korespondencji. Są to listy z Moskwy i Leningradu, z Odessy i Samarkandy. Dzieci opowiadają o swoich postępach w nauce, mówią o trudnościach ,radzą się i pytają.

„Mnie najgorzej idzie algebra i geometria. Każdego więcej dnia poświęcam trochę czasu na powtarzanie tych przedmiotów --- pisze np. Lila Drunczenko ze szkoły w Troickai. A w języku rosyjskim pomaga mi najbardziej to, że dużo czytam. Czasem obydwie z Wandą — moją koleżanką piszemy dla wprawy wypracowania. Tematy dobieramy same. Mamy też specjalne słowniki, gdzie wpisujemy wyrazy, w których zrobiłyśmy błąd. A potem układamy zdania z tymi wyrazami".

Tola Susłow z Iżewska opowiada o tym, że uczniowie postanowili sprawdzić wiadomości z matematyki przed zakończeniem pierwszego kwartału i ogłosili w tym celu konkurs matematyczny.

Z listów dowiadujemy się, w jaki sposób klasa uczy się geografii ,robiąc wycieczki i konkursy ,organizując zbiórkę minerałów. Jeden z korespondentów pisze o systematycznym powtarzaniu przerobionego materiału, inny o planowym rozkładzie czasu.

„Gdy zdałem do klasy czwartej, zaczęły się trudności, zwłaszcza z językiem rosyjskim — pisał Boria Saużyn z Kozłowa. Wtedy postanowiłem starać się ze wszystkich sił. Powiedziałem sobie: muszę dostać czwórkę, a potem piątkę. Zacząłem każdego dnia w domu pisać dyktando. Już na pierwszy okres dostałem czwórkę. Ale dyktand nie przestawałem pisać. Będę to robił dotąd, dopóki nie dostanę piątki.

Takich jak Boria jest w Związku Radzieckim dziesiątki tysięcy. **Gdy pionier powie: „muszę" to wiadomo, że wykona. Jeżeli będzie mu trudno, to cała klasa pomoże. Pionier przecież nie może myśleć wyłącznie o sobie.**

Popatrzcie tylko, z jaką radością mała **Ola Tatarinowa z IV klasy w Rostowie nad Donem** pisze o tym, że na pierwszy kwartał nie było w ich klasie ani jednej dwójki.

„Było to dla nas wielkie święto. Zapragnęliśmy wtedy, żeby na drugi okres znikły także wszystkie trójki".

Ola mówi wszędzie „my", a „my" — to znaczy cała klasa, to znaczy kolektyw. Nie wystarczy, by tylko Wania czy Natasza zlikwidowali swoje dwójki. Jeżeli klasa powie: **„my postanawiamy"**, to na pewno na żadnym świadectwie nie będzie ocen niedostatecznych. Na tym polega honor grupy. Nie pyszałkowatość, nie wychwalanie się swoimi piątkami, ale prawdziwy honor zespołu, wypływający ze zrozumienia celu, do którego się dąży.

Pionierzy rozumieją, że dobre postępy uczniów są taką samą radością dla całego narodu radzieckiego, jak osiągnięcia hutników, uczonych czy kołchoźników. Bo w przyszłości ta dzisiejsza piątka z fizyki zamieni się we wspaniałą budowlę wykonaną przez inżyniera. Wiedzą o tym pionierzy. I dlatego wchodząc w nowe półrocze, starają się ocenić to, co zyskali w starym.

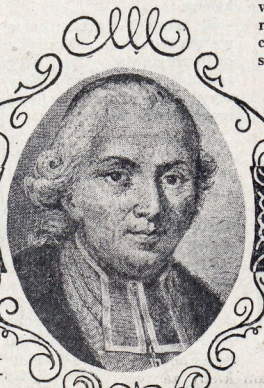

z poematu satyrycznego Ignacego Krasickiego.
„Antymonochomachia"

„I śmiech niekiedy może być nauką,
Kiedy się z przywar, nie z osób natrząsa..
Szanujmy mądrych, przykładnych, chwalebnych
Śmiejmy się z głupich, choć i przewielebnych".

IGNACY KRASICKI

Oddalcie się na chwilę wyobraźnią w dawne czasy, w czasy kiedy na obiady czwartkowe do króla Stanisława Augusta Poniatowskiego schodzili się wybitni malarze, literaci, ludzie nauki. Między nimi był najsławniejszy z ówczesnych poetów, biskup Ignacy Krasicki.

Uczestnik biesiad królewskich — Krasicki często zamyślał się, uważnie obserwował gości. Z uwagą przyglądał się otoczeniu: w gwarze magnackich salonów, w klasztornych uczt ach opasłych mnichów, w rozmowach wyperfumowanych, zniewieściałych modnisiów, tu w salonast łazienkowskiego pałacu dostrzegał to, czemu tak celnie dał wyraz w swoich satyrach, symbolicznych bajkach, poematach, utworach powieściowych. Dostrzegał główne wady swojej epoki. Biczował je słowem, odważnie wyszydzał. Piętnował marnotrawstwo, zacofanie, zabobony, niesprawiedliwość i głupotę, chciwość, bezmyślność i zapatrzenie w cudzoziemską modę. Interesowały go sprawy społeczne, ogólnoludzkie. I chociaż pozostał zawsze związany z warstwą szlachecką, to jednak jego dążenia do lepszego ułożenia stosunków między ludźmi były na owe czasy śmiałe i postępowe.

Chyba najbardziej zainteresuje was bajkopisarska twórczość Krasickiego, bo chociaż 150 lat upłynęło już od śmierci poety, to jednak z bajek jego nie wybiakł ani jeden uśmiech. Nieporównany styl, pełen zwartości, piękna, przejrzystości — do dziś nas zachwyca. Wzorowali się na nim geniusze naszej literatury: Mickiewicz i Słowacki.

Na pewno znacie niektóre z bajek Krasickiego drukowane w podręcznikach szkolnych, inscenizowane w świetlicach, chętnie deklamowane przez dzieci i dorosłych. Pod postaciami zwierząt, ptaków, pod symbolami martwych przedmiotów kryją się w bajkach ludzie, z ich śmiesznostkami, słabostkami i wadami.

Kałamarz i pióro

Powadził się kałamarz na stoliku z piórem.
Kto swieżo napisanej księgi jest autorem,
Nadszedł ten, co ją pisał, rozśmiał się z bajarzów,
Wiele takich na świecie piór i kałamarzów!

Dwa żółwie

Nie żałując sił własnych i ciężkiej fatygi.
Dwa żółwie pod zakładem poszły na wyścigi,
Nim połowę do mety drogi ubieżali,
Spektatorowie*) poszli, sędziowie zasnęli.
Więc rzekła im jaskółka: „Lepiej się pogodzić,
Pierwej, niżeli biegać, nauczcie się chodzić!"

Słowik i szczygieł

Rzekł szczygieł do słowika, który cicho siedział:
„Szkoda że krótko śpiewasz!" Słowik odpowiedział:
„Co mi dała natura, wypełniam to wiernie.
Lepiej krótko, a dobrze, niż długo, a miernie!"

Chleb i szabla

Chleb przy szabli, gdy leżał, oręż mu powiedział:
„Szanowałbyś mnie bardziej, gdybyś o tym wiedział:
Jak ja na to pracuję i wieczór i rano,
Żeby twoich bezpiecznie darów używano!"
„Wiem ja, — chleb powiedział — jakim służysz kształtem
Jeśli mnie bronisz, częściej bierzesz gwałtem".

*) widzowie (z łaciny).

LISTEM POLECONYM

Do zastępu klasy VII-ej
Szkoły Ćwiczeń przy Liceum Pedagogicznym TPD
w Lesznie

Zastęp postanowił wykonać dwa karmiki dla ptaków. Naturalnie, jak robić karmiki — to nie w lecie, a właśnie w zimie. Zastęp zaplanował, złożył plan na półkę (plan zarósł pajęczyną) a zastęp usnął. Podobno najgłośniej chrapała rada zastępu, której zadaniem jest właśnie kierowanie zastępem i czuwanie nad wykonaniem planu.

Jest już koniec stycznia, a ptaki wciąż dobijają się do okien VII-ej klasy. Razem z nimi alarmujemy:

„Zbudź się zastępie! Trzeba załatać „dziurę" w planie!"

(wg korespondencji kol. Nawrocika Wojciecha)

Do Rady Drużyny
przy szkole Nr 28 w Szczecinie

Według oświadczeń aktywistów drużyny — która ma szereg osiągnięć — i przewodniczącej rady, **kol. Wiery Rotenberg** drużyna „będzie sławna".

Dlaczego?

Ponieważ nie prenumeruje „Świata Młodych" i z tej racji znajdzie się na szpalcie „Listem poleconym".

Pytamy, co zrobi Rada Drużyny, aby zetrzeć tę złą sławę?

(wg rozmowy przeprowadzonej w Szczecińskim Pałacu Harcerza)

Oczekujemy „poświadczenia odbioru" od obydwu adresatów.

GDY WSIĄ RZĄDZILI OBSZARNICY

Błotnista droga biegła do szkoły wzdłuż lichych czworaków wsi Zawady, gdzie na gołej ziemi, razem z prosiętami i kurami gnieździły się chłopskie rodziny, żywiąc się wiecznie pęczakiem. Tą drogą co dzień rano maszerują dzieci. Bose nogi migają po ziemi, choć minął już październik. Dziesięcioletni Władek idzie pierwszy raz do szkoły. Idzie w sukience starszej siostry, bo matka nie może mu kupić ubrania.

— Cóż to wy kobieto za dziwowisko urządzacie? — pyta nauczyciel.

— Nie dziwowisko, ale nędza. Uczyć się chłopak powinien, a ubrania nie ma.

— Nie martwcie się. Przecież nie ma przymusu. Kary się od was nie weźmie, gdy go nie przyślecie.

I Władek wracał tą samą drogą. Po obu stronach, jak okiem sięgnąć, ciągną się dworskie pola. Zawada, Nagawczyna, Sepnica, Pustynia, Straszęcin, Dębica — aż do Rzeszowa idą. To wszystko własność hrabiego Raczyńskiego, który zawsze siedzi w Londynie, swoich pól nawet nie ogląda.

I tak było do wojny.

GDY PRZYSZŁA WŁADZA LUDOWA

W mroźny grudniowy poranek droga do szkoły w Zawadzie zaroiła się od dzieci. Szło ich dużo, ze wszystkich chałup. Wprawdzie nie każde jeszcze miało na nogach całe buty, ale szły wszystkie. Patrzyły na murowany dworski parkan, za którym dziś wznosiły się zabudowania PGR-u. Tam pracowali teraz rodzice wielu z nich — dawni zahukani fornale jaśnie pana, dziś współtwórcy nowego życia. Nad drogą biegły druty prowadzące do domów światło elektryczne. Na rowerze przejechał listonosz, wiozący do wsi świeże gazety.

— Dzień dobry dzieci — rozlega się z boku znajomy głos. To tow. *Antoni Lew* wraca z nocnej służby w PGR-ze. Ale praca jeo nie kończy się. Idzie do Komitetu Partyjnego, gdzie czekają różne sprawy. Trzeba zorganizować we wsi sklep spółdzielczy, trzeba zająć się radiofonizacją, założyć bibliotekę, urządzić kurs dla analfabetów. I o szkole też trzeba pomyśleć. Tam nie wszystko jeszcze dzieje się dobrze.

Już widać szkołę. Drobne dziecięce nogi przyśpieszają kroku. Radosny gwar wzmaga się. Ale za chwilę milknie. Dzieci zatrzymują się. Zza węgła szkoły wyłania się nienawistna im postać spekulanta *Jana Rymuta*, tego, co wydzierżawił od nauczycielki *Skrzyneckiej* ziemię szkolną. Przez zapaskudzone podwórko maszeruje stado krów. Dzieci usuwają się na bok, chyłkiem wślizgują się do sieni.

Zaczyna się lekcja. Pani *Skrzynecka* z włóczkową robótką w ręku siedzi pod piecem. Kazała dzieciom przepisywać z książki ćwiczenie. Znudzonym wzrokiem spogląda co chwila na zegarek.

— Kiedy wreszcie skończy się ta lekcja — wzdycha.

I tak mija czas w zawadzkiej szkole.

A w Komitecie Partyjnym wre praca. Na wsi coraz lepiej rozwija się nowe życie. Ludzie zaczynają radzić o spółdzielni produkcyjnej.

Słuchały szkolne dzieci tych rozmów prowadzonych wieczorem po chałupach. Czytały gazety przy blasku elektrycznych lamp. I otwierały im się powoli oczy na świat. Nie zadawalały się już tylko bezmyślnym przepisywaniem ćwiczeń z książki.

— *My do takiej szkoły nie będziemy chodzić!* — *oświadczyli wreszcie groźnie chłopcy z VI klasy.*

Sprawa stanęła na zebraniu partyjnym. I nie pomogło to, że bogatsi i „kumotrzy" dawali podpisy za „dawnymi nauczycielami". *Ci, którym zależało i zależy na utrzymaniu wsi w ciemnocie musieli ustąpić.* Do siedmioklasowej szkoły w Zawadzie przyjechał nowy zespół nauczycielski; *tow. Wilhelmina Tumielewicz, koledzy ZMP-owcy: Stanisław Róg, Stanisław Koryś i Maria Jakóbczyńska — pełni zapału i poświęcenia, nowi ludzie Polski Ludowej.*

W SZKOLE ZACZĘŁO SIĘ NOWE

Dawno już przebrzmiał dzwonek, a w klasie czwartej drzwi były jeszcze zamknięte. Dzieci nie śpieszyły się do wyjścia. Muszą przecież koniecznie zrozumieć, dlaczego przy odejmowaniu od zera mają prawo sięgać do poprzednich cyfr. *Marysia Pikułówna* stoi przy tablicy. Spociła się już jak mysz i ani rusz nie może spamiętać, gdzie kończą się dziesiątki, a zaczynają setki. Tow. *Tumielewicz* raz jeszcze tłumaczy spokojnym i cierpliwym głosem:

— Na miejscu dziesiątek masz zero czyli nic. Wobec tego sięgasz po następną setkę, by rozmienić ją na dziesiątki. Ile dziesiątek jest w setce?

Wszystkie ręce oczywiście podnoszą się do góry. Ale nikt nie wyrywa się z odpowiedzią. To spowodowałoby tylko zamieszanie.

Przez okno zagląda tow. *Bukowski*, członek Komitetu Rodzicielskiego. Nie wchodzi teraz, by nie rozpraszać uwagi. Ale dzieci znają go dobrze. Jest częstym gościem na lekcjach, podobnie jak inni towarzysze. Wie dobrze, kto ma trudności w nauce, komu brak podręczników i kto powinien dostać następną parę butów przydziałowych.

Z klasy drugiej także nie wszyscy wyszli, choć tam skończyła się już ostatnia lekcja. *Lusia Bukowska* zgłosiła się na ochotnika, że poćwiczy jeszcze tabliczkę mnożenia z tymi, którzy nie mogli się nauczyć. To wstyd, żeby nauczycielka gniewała się na nich.

WSPÓLNA PRACA — WSPÓLNA ROZRYWKA

Po lekcjach ruszyli wszyscy na zbiórkę złomu. Ten i ów pomrukiwał, że nie wie, gdzie szukać żelaza. Kierownik, kol. *Róg* szedł na przedzie. Drągiem stukał po opłotkach.

— Patrzcie, nasz pan także zbiera — poszeptywały dzieci.

I nie trzeba już było więcej słów. Wszyscy rozbiegli się po dróżkach. Każdy chciał coś zdobyć. *Józek Więcek*, który nadawał się tylko do psot i łażenia po drzewach, teraz wszystkich prześcignął.

Wieczorem zebrali się znów razem w świetlicy. Kierownik *Róg* grał na harmonii, a kol. *Koryś* opowiadał o najważniejszych wydarzeniach na świecie. Dzieci śpiewały. Potem słuchano przez radio dziennika wieczornego.

W świetlicy jest tak przyjemnie, aż się wychodzić nie chce. Nauczyciele odprowadzają potem dzieci grupami. Zdarzało się bowiem, że zaczepiano je na drodze. Zaczepiali ci sami, co buntują ludzi przeciw spółdzielni, co namawiali *Józka Więcka* do głupich figli. Z nauczycielem raźniej się wraca i przyjemniej.

Po drodze rozmawiali o choince noworocznej. Pięknie było — tańce, inscenizacje, podarunki. Stara *Więckowa* to aż płakała. Przez całe życie nie widziała czegoś podobnego, bo któżby się tam kiedy za tych pańskich czasów troszczył o chłopskie dziecko. A teraz dziecka nie zostawia się na łaskę i niełaskę losu. *Towarzysze partyjni myślą o tym, by przy szkole założyć ogródek i boisko, Komitet Rodzicielski troszczy się o sprawiedliwy rozdział książek, a nauczyciel w Zawadzie — to prawdziwy towarzysz, przyjaciel i doradca.*

ALE SĄ I BRAKI

Mimo to jednak nie wszystkie dzieci w zawadzkiej szkole zrozumiały, o ile szczęśliwsze jest ich życie od życia Władka sprzed wojny. Nie brak tu jeszcze leniuchów, egoistów, bumelantów.

Oto do klasy wszedł nauczyciel, zetempowiec *Koryś*. Zaczęło się powtarzanie. Padały pytania. Co chwila ktoś wykrzykiwał na całe gardło:

— Ja proszę pana.

Najczęściej mówił *Staś Kwaśnik* i *Zygmunt Ferenc*. Inni brząkali coś nieśmiało, a dziewczynki milczały uparcie, choć na ogół słuchano uważnie. Ale po dzwonku wszyscy pobiegli na przerwę i nikt „z silniejszych" nie zainteresował się, czy „słabszym" nie trzeba pomóc.

W klasie VI-ej *Stasiek Rozborski* nie przygotowuje lekcji, a *Rysiek Kryczka* przeszkadza innym w nauce.

W pracy nad usuwaniem braków w szkole zawadzkiej muszą nauczycielom pomóc wszystkie dzieci. Muszą widzieć dalej, niż czubek własnego nosa, swój zeszyt i swoją ławkę.

JUTRO ZALEŻY OD WSZYSTKICH

Z dnia na dzień zmienia się życie we wsi Zawada. Za parę lat pójdą tą samą drogą do szkoły inne dzieci. Pójdzie *Krysia Pikułówna*, młodsze rodzeństwo obecnych uczniów. Na polach PGR i spółdzielni produkcyjnej pracować będą maszyny. W każdym domu będzie radio, światło i książki. Radosna jest przyszłość wsi Zawada. Wraz ze starszymi towarzyszami budują ją także dzieci i te, które już rozumieją swoje obowiązki dobrego ucznia i kolegi, i te które to zrozumienie osiągną dzięki wspólnej zespołowej pracy.

BARBARA TRYFAN

Koła pociągu stukały miarowo po szynach. Głowy śpiących kiwały się śmiesznie: raz, dwa, raz, dwa. Włodek Mróz zbliżył się do okna:

Za oknami pociągu przesuwał się biały krajobraz, upstrzony gdzieniegdzie ciemnymi plamami lasu.

Twarze kolegów oraz leżące na półce plecaki i narty przypominały Włodkowi dni, podczas których rozstrzygała się sprawa jego wyjazdu na II Ogólnopolskie Igrzyska Zimowe do Szklarskiej Poręby. Pamiętał dokładnie każdą rozmowę, choć od tamtego czasu upłynęło już prawie siedem tygodni.

* * *

Zebranie, na którym trzeba było wybrać narciarzy do jutrzejszych miejskich eliminacji szkolnych, było bardzo burzliwe. Tym bardziej, że zwycięzcy mieli jechać na igrzyska do Szklarskiej Poręby. Przewodniczący rady drużyny, Geniek Widera, był w rozterce. Przegłosowano, że w eliminacjach mogą wziąć udział jedynie dobrzy uczniowie. Ogłaszając wynik głosowania, Geniek musiał skreślić ze składu pierwszego patrolu Włodka Mroza, najlepszego zjazdowca szkoły, który od półrocza miał na swoim „koncie" nie poprawioną dwójkę z historii.

W klasie zrobiło się zupełnie cicho. Włodek zerwał się z ławki i krzyknął:

— Jak nie chcecie wystawiać prawdziwych sportowców to, możecie mnie nie wystawiać! Na piątkach z historii biegu patrolowego i tak nie wygracie!

Zaczął przepychać się do wyjścia. Wtedy poprosił o głos Stasiek Gładek. Włodek zatrzymał się przy drzwiach i pomyślał:

— To przecież mój najlepszy kolega. Na pewno powie, że i on nie pojedzie, jeśli mnie nie wezmą.

Ale Stasiek mówił co innego:

— Ty nie jesteś prawdziwym sportowcem! Nie tylko, że masz dwóję, którą mogłeś już dawno poprawić, ale i przeszkadzałeś podczas polskiego Frankowi i Lebiodzie, pamiętasz? A jak nasza klasa robiła tablice przyrodnicze, to ty uciekłeś, wolałeś grać w piłkę...

Włodek trzasnął drzwiami. Sprawa została przesądzona.

* * *

Był przedostatni dzień nauki przed feriami zimowymi. Po pięciu lekcjach wszystkie trzy szkoły miasteczka rozsypały się po trasie śniegu. Śnieg był dobry. Skrzył się w słońcu.

Obrażony Włodek siedział w domu. Ale gdy zegar wybił trzecią, nie wytrzymał:

— Będą już chyba teraz w połowie trasy — pomyślał. Szybko zapiął narty i „łyżwowym" krokiem przemknął przełaj, skracając sobie drogę przez las. Potem długo podchodził pod górę. Chciał mieć przed sobą cały odcinek trasy, który wymagał największego „zgrania" biegnących w patrolach. Stromy stok kończył się lasem. Trzeba było gwałtownie skręcić

(c. d. na str. 8-ej)

W naszych warszawskich TEATRACH

O NIEBIESKICH MIGDAŁACH

W WĄSKIEJ cienistej uliczce czekają osiołki i wielbłądy. Spod glinianego dachu (w starej dzielnicy Samarkandy wszystkie domki mają gliniane dachy) wychodzi jak zwykle, jak codziennie, orszak dziwnych aktorów. Sadowią się na grzbietach zwierząt i kiwając się w takt stukotu kopyt, ruszają przez miasto ku nowej dzielnicy: na przedstawienie. Po drodze przechodnie uśmiechają się do ich papierowych twarzy. Znają się dobrze. Lubią się bardzo nawzajem.

W sali Domu Pioniera czekają już Kirgizi, Tatarzy, Uzbecy... — dzieci i dorośli. Zaczyna się sztuka pt.... „Pani Twardowska", bajka Mickiewicza przerobiona na scenę kukiełkową.

Wszystko to dzieje się w dalekim mieście radzieckim, położonym o kilkaset kilometrów od granicy chińskiej, w 1944 roku. Aktorami, jak się domyślilicie, są kukły; kukły, których głowy — papierowa masa — powstały z prywatnych listów dyrektora teatru Kilian - Stanisławskiej i których stroje uszyte są z ubrań aktorów. (Wojna — brak papieru, materiału).

Tak powstał teatr „Niebieskie Migdały", założony w ZSRR przez polskich emigrantów w czasie ostatniej wojny. Ten sam teatr, który dziś daje przedstawienia w Warszawie na ulicy Karowej.

„TUTAJ HOPSA TEATR DROPSA"

STONOGA tańczy polkę. Tomek Drops gra na grzebieniu, myszka ze ślimakiem — na puzonie. Śpiewa bocian i wiewiórka. Aż scena się trzęsie. A publiczność miasteczka jest zachwycona, kołysze się w takt muzyki bije brawa. Nie myślcie jednak, że to prawdziwa publiczność. Nie. To po prostu teatr w teatrze. Wszystko kukły. Tylko, że jedne grają aktorów a drugie widzów.

Prawdziwa publiczność, zgromadzona na sali „Niebieskich Migdałów", podziwia Tomka Dropsa, który wypędzony z Sandomierza przez pięciu niedobrych braci powędrował w świat — szukał pracy. Bracia z ironicznymi uśmiechami doradzili chłopcu, aby wziął sobie na drogę polną myszkę, bocianа, stonogę, wiewiórkę i ślimaka.

I myślicie, że Tomek źle na tym wyszedł? Wcale nie. Założył ze zwierzętami — przyjaciółmi teatr. I gdy po pierwszym przedstawieniu trupa aktorska poszła spać do hotelu, przybył burmistrz z Kielc i lekarz z Klimontowa: jeden i drugi chcieli zabrać do siebie Dropsa z jego trupą. Ale burmistrz był żarozumiały, pyszny, wielkopański — pragnął teatru dla swojej sławy i wygody, a doktór marzył o teatrze dla chorych dzieci w szpitalu, które trzeba rozweselić. I Tomek wybiera Klimontów.

Sztuka **Jana Brzechwy — „Pan Drops i jego trupa"** kończy się właśnie występem w szpitalu dziecięcym.

WIDOWNIA MA GŁOS

A TERAZ sala ma głos — mówi dyrektor „Niebieskich Migdałów", po zasłonięciu kurtyny. — To, co widzieliście, było dopiero próbą przedstawienia. Mówcie swoje uwagi. Chcemy wiedzieć, co jeszcze ulepszyć, poprawić, co zmienić.

Mały chłopiec staje na krześle, aby go widziano i słyszano:

— Zwierzęta są chyba za wielkie w porównaniu z Tomkiem.

— Za duże są przerwy między tym, co mówią aktorzy — wypowiada się Ola Kotlarska — i za tę celną uwagę dostaje brawa.

Potem mówią inne dzieci. Na sali siedzi Jan Brzechwa. Słucha uważnie wszystkiego. Słuchają również aktorzy — poruszacze lalek. Dyskusja jest ciekawa.

„Pragniemy, aby nasza dzisiejsza publiczność stała się w przyszłości odbiorcą sztuki, dla którego teatr nie będzie przysmakiem, lecz chlebem powszednim" —tak mówią Irena i Tadeusz Sowiccy, dyrektorzy drugiego warszawskiego teatru kukiełkowego „Guliwer"

Zajrzyjmy więc do „Guliwera" gdzie odbywa się przedstawienie sztuki **SERGIUSZA MICHAŁKOWA — „TRZY POMARAŃCZE".**

NA DWORZE KRÓLA RYMÓW

PANTALONE, szukaj rymu, rymu, rymu... — wciąż król i o mało nie zdechł. A Pantalone szybko otwiera wielką księgę i wykrzykuje różne słowa, kończące się na „oda".

— Nie to, nie to... — trzęsie się król. — O, metoda, metoda, o nareszcie! Znalazł się odpowiedni rym, bo król mówi tylko rymami; księga, która mu pomaga, to księga rymów.

Szukanie rymów jest najczęstszym kłopotem króla. Największe jego zmartwienie — to jednak choroba syna. Chorobę tę wmówili w królewicza — minister Brygiello i księżniczka Klaryssa — czyhający na tron, na zgubę króla i jego następcy. Intrygę tę odkrywa pionier radziecki — Andrzejek, który śni bajkę o trzech pomarańczach i we śnie bierze w niej udział.

Na widowni cisza. Zasłuchanie. Bo w tej chwili na królewskim dworze ogłaszają wielki festiwal ludowy na cześć powrotu do zdrowia królewicza. Zaczynają się tańce, muzyka. Przed oczami widzów przesuwają się barwne pary.

Przebiegnijmy po cichu za kulisy. Wśród pouczepianych do drewnianych ram materii (dekoracji), tanecznym krokiem przesuwają się aktorzy, trzymający wysoko w rękach kukły. Poruszają przy tym kijkami na różne sposoby, aby lalki „żyły".

W sąsiednim pokoju odpoczywają przy ścianie: astrolog, rycerze na koniach — ci czekają na swoją kolej. Zza kotar dochodzi głos czarownicy Morgany, którą sprowadzili na festiwal Brygiello i Klaryssa. Morgana rzuca do królewicza trzy pomarańcze i woła:

— Jeśli ich nie znajdziesz, nie zaznasz spokoju. Trzy pomarańcze — twoja zguba i ratunek.

Mechanicy przesuwają ramy z dekoracjami, jedni aktorzy wchodzą pod scenę, inni wychodzą. Zaraz zacznie się nowa wędrówka w kółko po kulisach Dreptanie po schodkach, bieganina nieomal w jednym miejscu. A dla widowni — zaczarowany świat.

Trzy pomarańcze odnajdą się. Na dworze króla rymów zapanuje szczęście. Klaryssa i Brygiello pójdą do więzienia a właściwie... powrócą wszyscy do pokoiku za kulisy.

Ale dla widzów wszystkie postacie pozostaną żywe, najprawdziwsze...

M. B.

AUTORZY SZTUK

Sergiusz MICHAŁKOW

„Urodziłem się 28.11.1913 r. w Moskwie. Wiersze zacząłem pisać w dzieciństwie. Wraz ze szyzorykiem, włócznią i innymi „bezcennymi" przedmiotami przechowywałem w swej szkatułce zeszyt z przepisanymi na czysto wierszami. Wydania domowe, pisanych ręcznie dzienników, nie zadawalały mnie. Marzyłem, by mnie drukowano.

Ułożyłem wierszowaną bajkę, przepisałem starannie drukowanymi literami i poszedłem do wydawnictwa. Ze strachem wszedłem do lokalu, który pachniał farbą drukarską. Redaktor przyjął mnie jak prawdziwego autora. Obejrzał rękopis i poprosił, bym mu go zostawił na kilka dni. Był to mój pierwszy awans."

Tak wspomina o sobie Sergiusz Michałkow, ulubiony pisarz dzieci radzieckich, autor poematu „W muzeum W. I. Lenina", sztuki kukiełkowej „Trzy pomarańcze", i wielu innych utworów. Michałkow jest autorem słów Hymnu Związku Radzieckiego.

Jan BRZECHWA

— „Pana Dropsa i jego trupę" napisaliście, zdaje się, już dość dawno?

— Tak. W czasie okupacji. Jest to jedna z pierwszych książek dziecięcych, które ukazały się tuż po wyzwoleniu. Niedawno przerobiłem ją na kukiełkowy utwór sceniczny.

— Czy ta przeróbka była trudna?

— Nie. Zmieniłem przede wszystkim trochę treść — na bardziej aktualną. Poza tym — w miejsce opowiadania — dałem dialogi.

— A co nowego napisaliście ostatnio?

— Noworoczne widowisko, które poszło w teren. Obiegło 20 miast. Niedługo ukaże się film rysunkowy według mojego scenariusza „Opowiedział dzięcioł sowie", a nieco później drugi film rysunkowy „Zbuntowane rysunki".

— I co jeszcze macie w planie?

— Wyjdzie moje tłumaczenie bajki Puszkina o carze Sałtanie.

Cała ta rozmowa odbyła się między znanym wam autorem wierszy, bajek i wierszowanych opowiadań dziecięcych — Janem Brzechwą, a przedstawicielem „Świata Młodych" w teatrze „Niebieskie Migdały", przed próbą generalną „Pana Dropsa".

II.

MNIEJ więcej o tej samej porze, kiedy ratowniczy samolot „Lichacz" startował z Władywostoku przez Chabarowsk i Błagowieszczeńsk do Irkucka — na stacji arktycznej Wos-Taj III, o jakieś cztery tysiące kilometrów dalej na północ, zachorował człowiek.

Nie był ani uczonym, ani lekarzem, ani nawet asystentem. Nazywał się Arga, umiał czytać, pisać i rachować do stu, prowadzić psie zaprzęgi, a przede wszystkim — pracować i żyć na Dalekiej Północy. Zawodowo trudnił się myślistwem i rybołówstwem, na Stacji zaś spełniał różne czynności, jako jedyny pracownik fizyczny.

Był dotąd zdrów i krzepki, o wiele silniejszy i wytrzymalszy od każdego innego mieszkańca Wos-Taj III, ponieważ urodził się w tym kraju, daleko za Kręgiem Polarnym, tu się wychował i w tutejszych ciężkich warunkach zaczął zdobywać swój chleb codzienny, mając lat dziesięć, czy dwanaście. Toteż wstydził się bardzo, że właśnie jego chwyciła w swe szpony choroba, podczas gdy tamci ludzie, przybyli tu z południa, z wielkich miast, nie chorowali.

Z początku próbował się przemóc: mimo dojmującego bólu, który zaczął się już wieczorem, a w nocy rozsadzał mu czaszkę i stos pacierzowy, wstał jak zawsze o piątej, aby narąbać drzewa i podsycić ogień w piecach. Przyniósł cztery kociołki lodu, ustawił je na płycie kuchennej, nakarmił psy, odmiótł śnieg ze ścieżki prowadzącej do budek meteorologicznych i nagle zwalił się na ziemię: straszliwy, głęboki, rwący ból przeszył mu biodra, prześwidrował uda i kolana, sparaliżował nogi...

3

Nie mógł się już dźwignąć i jęcząc dowlókł się na łokciach do progu. Tam znalazł go młody lekarz Stacji, Bonin. Zawołał innych, przenieśli Argę do ciepłej izby, rozebrali, napoili gorącą herbatą, dali jakieś proszki.

Potem Bonin długo badał, opukiwał, obsłuchiwał jego ciało, w którym ból rozprzestrzeniał się po kościach i mięśniach, skuwając je gwałtownym skurczem.

— Arctotetanius — powiedział wreszcie do kierownika stacji, Guzowskiego. — To jest odmiana tężca...

Guzowski patrzył na niego zatroskany.

...nagle zwalił się na ziemię...

— W takim razie — szepnął, odciągając go w przeciwległy kąt pokoju — w takim razie to bardzo poważne! Nie mylicie się?

— Wolałbym się mylić — odrzekł Bonin. — Widzicie, to jest — na szczęście — bardzo rzadko spotykany zarazek. Na tę chorobę zapada jeden człowiek na milion, ale zwykle wtedy umiera w strasznych męczarniach. Profesor Tokarow, któremu udało się odkryć wirusy tężca arktycznego...

— Wyście praktykowali na klinice u Tokarowa w Moskwie? — przerwał Guzowski.

— Tak. Profesor zbadał ogółem koło trzydziestu takich wypadków. Z tego zaledwie pięć wyleczył. Ja miałem sposobność widzieć tylko trzech zakażonych. Wszyscy zmarli, ponieważ za późno przywieziono ich na klinikę.

— A jak się to leczy?

Bonin rozłożył ręce.

— Jeszcze nie mamy pewnych środków. Prace Tokarowa są w stadium doświadczeń. Ale najważniejszy zabieg, to zastrzyk surowicy z ozdrowieńca. Jeżeli zastosuje się taki zastrzyk przed upływem czterdziestu ośmiu godzin od chwili pierwszych objawów, jest nadzieja, że silny organizm przy odpowiedniej opiece i w dobrych warunkach może zwalczyć chorobę.

Guzowski przygryzł wargi.

Czterdzieści osiem godzin... Surowica z ozdrowieńca... Odpowiednia opieka... Dobre warunki...

Stacja Wos-Taj III we Wschodnim Tajmyrze, na siedemdziesiątym siódmym równoleżniku, o pięć tysięcy kilometrów od Moskwy, skąd jedynie można by otrzymać ową surowicę... Jeden młody lekarz, obsługujący trzy placówki odległe od siebie o trzy dni drogi... Drewniany barak o podwójnych ścianach, niewielka apteka polowa, zapas konserw i żywności dla ludzi zdrowych...

Wydało mu się to w pierwszej chwili beznadziejne, ale wrodzona energia i optymizm natychmiast wzięły górę.

— Skoro tak, to trzeba się śpieszyć — powiedział głośno. — Nadajcie radio-depeszę do tego waszego Tokarowa. Niech nam przyśle surowicę samolotem. Musimy ratować człowieka!

Profesor Tokarow otrzymał radiotelegraficzną wiadomość o wypadku Tetanius Arcticus u myśliwego Argi — tegoż dnia po południu. Długa depesza radiowa z opisem wszystkich podejrzanych objawów była fachowo zredagowana i podpisana znanym mu skądś nazwiskiem — Bonin.

— Co to za Bonin? — spytał, zwracając się do swojej sekretarki.

Natalia Aleksandrówna była przyzwyczajona do takich nieoczekiwanych pytań. Miała przy tym fenomenalną pamięć.

— Józef Piotrowicz Bonin. Ukończył Akademię Lekarską w Leningradzie w 1947. Odbywał u nas prakty-

SPORT MŁODYCH

PUCHAR PRZECHODNI
ufundował
»Świat Młodych«
na II Ogólnopolskie Igrzyska Zimowe w Szklarskiej Porębie
(Dokładnych informacji szukajcie w następnym numerze)

Bieg patrolowy

Trzyosobowy oddział ruszył ze startu. Początkowo był mały zjazd, trzeba było skręcić w lewo, trasa biegła przez las. Chłopcy mknęli szybko, pewnie byli dobrze przygotowani do biegu patrolowego.

W pewnym miejscu pomiędzy wysokimi sosnami wił się wąski strumyk. Był tylko lekko pokryty lodem. Patrol zatrzymał się na chwilę. Dowódca wbił kijki w śnieg, oparł się na nich i z rozpędem przeskoczył przez przeszkodę. Dwaj pozostali zdjęli narty i również przeskoczyli przez strumyk.

— Widzicie, jak przydało się nam uprawianie atletyki terenowej — powiedział dowódca.

Po kilkudziesięciu metrach mijali harcerza, który samotnie, wolno posuwał się naprzód.

— Zgubiłeś patrol? Spuchłeś? — spytali go.

— Nie, czuję się wyśmienicie, ale zmoczyłem narty w tym strumyku, oblodziły się teraz i nie mogę szybko biec.

Kiedy patrol wyszedł z lasy natknął się na komisję sędziowską. Wręczono im instrukcję: stąd ma ją się udać pod kątem 35 stopni do punktu w terenie, gdzie znajduje się ranny i oczekuje pomocy. Sędziowie dali chłopcom kompas. Chwila namysłu i już jadą dalej. Członkowie komisji uśmiechają się do siebie z zadowoleniem: Nie mają punktów karnych, potrafią posługiwać się kompasem.

Istotnie po dziesięciu minutach zobaczyli z daleka chorągiewkę czerwonego krzyża. Leżał tam „ranny" — miał „złamaną" rękę. Trzeba było zabandażować i przenieść „rannego" na noszach do najbliższej chaty.

Następnie pojechali dalej. W pewnym miejscu stwierdzili, że trasa urywa się i nie wiadomo, w którym kierunku należy iść. Wręczono im instrukcję pisaną alfabetem Morsego.

Cała trójka pochyliła się nad linijkami drobnych kresek i kropek. Trudno szło im czytanie — alfabetu Morsego nie przerobili. Co teraz będzie? Długo trwało, zanim zorientowali się, którędy teraz prowadzi trasa. A drogie minuty mijały.

Na metę przybyli wszyscy razem, ale potem dowiedzieli się, że mają punkty karne za nieprzygotowanie Morsego — Tak, koledzy — mówił dowódca — okazało się, że niezupełnie przygotowaliśmy się do zawodów. Nie pomyśleliśmy o alfabecie Morsego.

I chłopcy zabrali się do nauki, bo czekał ich przecież wyjazd do Szklarskiej Poręby.

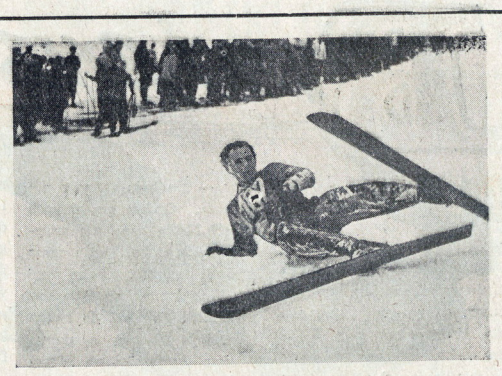

Najważniejsze, żeby się nie przewrócić... Tak jak ten narciarz, który stracił w ten sposób punkty zdobyte podczas skoku.

Szachy

ROZSTRZYGNIĘCIE „KONKURSU DRABINKOWEGO" ZA PAŹDZIERNIK 1950 R.

W okresie tym opublikowaliśmy 3 zadania, które, jak stwierdziliśmy z zadowoleniem — nie sprawiły poważniejszych trudności większości naszych Czytelników. Maksymalna ilość możliwych do zdobycia punktów wynosiła 4 (po 1 za zadania nr nr 3 i 5 i 2— za zadanie nr 4), ale tylko jeden uczestnik konkursu, kol. T. Segiet zdołał to maximum osiągnąć. Siedmiu dalszych uczestników uzyskało po 3 punkty.

Po zsumowaniu punktów za wrzesień i październik (nie licząc oczywiście powtórnie punktów, za które nagrodzeni zostali wrześniowi zwycięzcy) na czele tabeli ulokowali się następujący koledzy, **zdobywając nagrody** za październik (w nawiasach ilość zdobytych punktów): **S. Gozdowski**, Gdynia 4, ul. Chylońska 66 m 4,. **K. Kochanowski**, Warszawa 4, ul. Okrzei 30 m. 53, **M. Kürstein**, Nowy Targ, ul. Bolesława Wstydliwego 27, **J. Segiet**, Tomaszów Maz. ul. 18 stycznia 3 **Z. Terlecki**, Wrocław, ul. Daszyńskiego 36 m. 3 i **J. Woźniak**, Lublin, ul. Św. Mikołaja 23 m. 4 (po 4), oraz w drodze losowania: **J. Arłamowski**, Wrocław 1, ul. Walecznych 21 m. 5 **E. Czucharski** Koszalin, ul. Jasna 6 m. 2, **T. Pałasz**, Starogard Gdański, ul. Sobieskiego 17 i **B. Sowa**, Wrocław, ul. Stalina 66 m. 2 (po 3 punkty).

Nagrody książkowe roześlemy zwycięzcom, jak zwykle pocztą, w najbliższych dniach.

KONKURS „DRABINKOWY"
ZADANIE NR 14

Białe, mające teraz posunięcie wyzyskały swą piękną, atakującą pozycję, i nieoczekiwanym, ale prostym manewrem zdobyły jedną z czarnych figur, zmuszając przeciwnika do poddania się już po dwu posunięciach. Jaki to manewr?

PRZYPOMINAMY, ŻE

TERMIN NASZEGO KONKURSU PRZYRODNICZEGO

ogłoszonego w numerze 3 (102)

mija dnia 15 lutego

poniżej zamieszczamy kupon konkursowy, który należy przesłać z rozwiązaniem.

KUPON KONKURSOWY

Nazwisko i imię .....

Wiek ..... **Dokładny adres** .....

.....

Hasło konkursu .....

.....

DALSZE NAGRODY
w konkursie »Książki które sfilmowano«

Za ciekawe opracowanie graficzne konkursu nagrody w postaci **oryginalnych rysunków „Chmiela"** otrzymują:

Jan Hierowski — Kazimierza Wielka, ul. Kolejowa 11, pow. Pińczów,

H. Rozendorf (prosimy o dokładny adres),

Diter Smolarek — Zabrze, ul. Mikulczycka 16,

Jerzy Baer — Poznań, ul. Łąkowa 9 m. 7,

Joanna Jórewicz — Góra Śląska, ul. Kościuszki 23,

Josek Batagower — Wałbrzych, ul. Świerczewskiego 7 m. 5,

Dodatkowo, na wniosek redaktora naczelnego, komisja konkursowa postanowiła przyznać 3 nagrody za prace specjalnie wyróżniające się, a mianowicie:

1) Uczniowie i uczennice kl. VIa szkoły podstawowej nr 31 w Gdańsku - Wrzeszczu, ul. Barlickiego 16a — za najliczniejsze opracowanie zespołowe — otrzymają **10 książek**,

2) Jan Hierowski — Kazimierza Wielka, ul. Kolejowa 11, pow. Pińczów — za najstaranniejsze opracowanie otrzymuje **5 książek**.

3) H. Rozendorf (prosimy o dokładny adres) — za oryginalne opracowanie plastyczne w drzewie — otrzymuje **3 książki.**

Na zakończenie dla „miłośników" statystyki podajemy, że we współzawodnictwie „ilościowym" zdecydowane zwycięstwo odnieśli chłopcy (brawo!), którzy nadesłali 882 odpowiedzi, przy 378 odpowiedziach dziewcząt (czyżbyście mniej czytały od swych kolegów?).

Prac zespołowych było tym razem 8.

Wszystkim uczestnikom konkursu, tak nagrodzonym jak i nie nagrodzonym składamy podziękowanie za pracę włożoną w opracowanie rozwiązań konkursu i jednocześnie zapraszamy i życzymy powodzenia w naszym nowym konkursie przyrodniczym, ogłoszonym w poprzednim numerze.

---

kę dwa lata temu. Oddział zakaźny, wewnętrzny, dermatologia. Niski, dosyć tęgi, blondyn — wyrecytowała.

— Aha, już wiem — mruknął profesor. — Wiecie, gdzie on jest?

— Wysłali go z jakąś ekspedycją polarną do Tajmyru. Gdzie jest teraz, nie wiem.

— Właśnie tam, na Tajmyrze. A ja muszę się do niego zaraz dostać.

— Do Tajmyru?! — zdumiała się sekretarka.

— Do Tajmyru. Na stację Wos-Taj III. Zanotujcie: Wos-Taj III. Polecę samolotem. Dowiedzcie się o połączenia i w ogóle zorganizujcie mi to. Muszę tam być na miejscu najpóźniej jutro wieczorem. Tu jest depesza w tej sprawie; może wam być potrzebna. Aha: niech doktór Kornerowa przygotuje dla mnie 150 centymetrów sześciennych surowicy AT XXI. Zanotujcie: AT XXI. Oprócz tego zatelefonujcie do mnie do domu, żeby mi przygotowali ciepłą bieliznę: tam jest bardzo zimno, w tym Tajmyrze. A teraz niech tu przyjdzie Demian. Muszę się z nim porozumieć: będzie mnie zastępował.

Natalia Aleksandrówna skinęła głową i wyszła. Najpierw przeczytała depeszę Bonina. Potem w ciągu paru minut telefonicznie załatwiła sprawy wewnątrz kliniki i przekazała wiadomość o wyjeździe profesora jego córce. Wreszcie zaczęła konferować z biurem Aeroflotu i tam natrafiła na poważne trudności: samolot do Archangielska, mający nazajutrz o szóstej rano dalsze połączenie przez Obdorsk i Igarkę do Podbigajska nad zatoką Chatanga, już odleciał. Następny — nocny — miał odlecieć przez Leningrad, ale w Archangielsku trzeba by czekać na połączenie z Obdorskiem prawie całą dobę.

— Wyszukajcie mi jakąś inną drogę — powiedziała Natalia Aleksandrowna. — Profesor musi być najdalej za trzydzieści sześć godzin w Wos-Taj III.

— Do Wos-Taj III w ogóle nie ma regularnej komunikacji lotniczej — odpowiedziano jej po chwili. — Raz na tydzień z Podbigajska odlatuje samolot do Wos-Taj I. Stamtąd macie koło stu sześćdziesięciu kilometrów na nartach albo saniami z psim zaprzęgiem.

— A kiedy odlatuje ten samolot z Podbigajska? — zapytała.

— W poniedziałek. Za pięć dni: dziś jest środa.

— Dobrze. a jak można dostać się do Podbigajska wcześniej, omijając Archangielsk, inną drogą?

— No, ostatecznie można. Przez Krasnojarsk i potem... Zaraz... Tak: Nazimowsk, Bachta, Igarka. Ale to jest prawie o tysiąc kilometrów więcej i bylibyście tam o całą dobę później.

Natalia Aleksandrowna nie zrażała się:

— W takim razie trzeba będzie użyć specjalnego samolotu poza rozkładem.

— To już musicie zwrócić się wprost do naczelnej dyrekcji — powiedział urzędnik. — Ale pośpieszcie się: za pół godziny kończą tam urzędowanie.

Podziękowała mu i pojechała do dyrekcji Aeroflotu.

...poleci pan dziś o godzinie 24.00 nocnym pocztowym samolotem do Wiatki...

Nie było jej dwie godziny, Tokarow złościł się i klął, ale wróciła z tryumfem, nic sobie nie robiąc z jego groźnej miny i nastroszonych siwych brwi.

— Jutro przed północą będziecie w Podbigajsku — powiedziała. — Tam przenocujecie, a rano dadzą wam samolot sanitarny do Wos-Taj III. Możecie być na miejscu pojutrze o ósmej.

Rozchmurzył się:

— Herod - baba! Jak to urządziłaś?

Opowiedziała mu wszystko dokładnie. Z początku w żaden sposób nie chcieli dać specjalnej maszyny. Ale przekonała ich: chodziło przecież o ratowanie człowieka!

— Poleci pan dziś o godzinie 24.00 nocnym pocztowym samolotem do Wiatki.

— Do Wiatki?! — zdumiał się profesor. — Przecież...

— Proszę nie przerywać — zgromiła go. — Do Wiatki. To jest cztery godziny lotu. Będzie pan tam o czwartej rano i zje pan śniadanie, a może nawet będzie pan mógł trochę przespać. To będzie zależało od pułkownika Gonara?

— Któż to jest ten Gonar?

— Nie słyszeliście o Gonarze?! — zdziwiła się. — Podczas wojny pisały o nim wszystkie dzienniki. Zestrzelił kilkadziesiąt hitlerowskich samolotów. Teraz jest generalnym inspektorem ruchu w Aeroflocie. Otóż inspektor Gonar przed paru godzinami wystartował z Irkucka i leci do Moskwy.

— Przez Wiatkę? — domyślił się profesor.

— Nie: przez Kazań.

— Ale ja będę w Wiatce! — zawołał zniecierpliwiony.

— I jego skierują do Wiatki — odrzekła spokojnie. — Powinien tam być koło szóstej rano, akurat wtedy, kiedy samolot pasażerski będzie odlatywał z Archangielska do Cytmy.

— Ależ kobieto! Ja nie będę ani w Archangielsku ani w Cytmie!

— Owszem, będzie pan w Cytmie. Inspektor Gonar tam właśnie odstawi pana z Wiatki. Dalej poleci pan tym samolotem pasażerskim aż do Podbigajska.

— I pani to wszystko wymyśliła, Natalio?

— No — odrzekła z uśmiechem — trochę mi pomogli w naczelnej dyrekcji Aeroflotu.

Dała mu notatkę z całym tym rozkładem, „żeby się gdzie nie zgubił między trzydziestym ósmym a stopiątnastym południkiem" i zapytała, czy ona, Natalia Aleksandrowna, będzie mu jeszcze potrzebna.

— Najchętniej zabrałbym was z sobą — westchnął. — Ale doktór Demian nie darowałby mi tego, a jutro potraciliby tu głowy. Idźcie już. Bardzo dziękuję.

Natalia Aleksandrowna lekko poróżowiała. Doktór Demian zaprosił ją do teatru. Profesor miał taką minę, jakby coś o tym wiedział...

cdn.

Braterstwo pięciu mórz

DONOŚNY głos dzwonu oznajmił zakończenie pracy. Robotnicy żywo rozprawiając podążali gromadkami w stronę drewnianych domków malowniczo rozrzuconych na zalesionym zboczu. Inni, ci mieszkający w Kałaczu, czekali na brzegu szosy na miejski autobus. Inżynier Siergiej Iwanowicz Wasiew ostatni zszedł z „pola walki", ale zamiast skręcić z innymi do „robotniczego miasteczka" zbiegł w dół, ku rzece. Ciągnęła go zawsze ku sobie, przywoływała. Nad nią wychował się, spędził najmilszy okres swego dzieciństwa. Nie zwracając uwagi na usuwającą się spod nóg rozmokłą ziemię zszedł aż na sam dół i zaczął iść brzegiem w górę rzeki. Lekko zmarznięte dłonie wsunął w obszerne kieszenie kurtki, zamyślił się. Prawie codziennie, po pełnym wysiłku dniu pracy przychodził tutaj na „chwilkę", która często przeciągała się aż do wieczora. Ale nie uważał tego czasu za zmarnowany. Myślało mu się dziwnie jasno, nieraz powstawał tu nowy projekt roboty. Tylko czasem pozwalał ponieść się fantazji i wspomnieniom. Tak też stało się teraz.

...Kiedy był małym chłopcem — no, niezupełnie takim małym, miał pewno ze czternaście lat — poczuł dziwny pociąg do geografii. Często tak bywa w chłopięcym wieku, że nagle zjawiają się jakieś nowe zainteresowania. Kupił ogromną mapę zajmującą prawie całą podłogę pokoju i ślęczał nad nią całymi dniami. Tu odbywał swoje podróże. Podróże te, poza jednym tylko, że odbywały się w myśli, były bardzo realne. Nie znosił najmniejszej nieścisłości. Wszystko musiało dziać się zgodnie z mapą. Nie uznawał żadnych latających dywanów, ani czarodziejskich pałeczek. Swoje podróże odbywał wodą (woda zawsze go ciągnęła), to na szkunerach, to na łamaczach lodu, to znów na spławnych barkach, lub nawet na transoceanicznych statkach.

*

KTÓREGOŚ dnia płynął po Morzu Białym. Jechał na szkunerze pełnym towarów. Zrobiło się bardzo zimno. Zmarzł. Szkuner zawinął do Archangielska, ale tam było prawie tak zimno, jak i na morzu. Zapragnął nagle przenieść się nad ciepłe wody Morza Czarnego. Zaczął szukać odpowiedniej drogi. Chciał tam, w swoje rodzinne strony dojechać z towarami, które wiózł na szkunerze. Płynął kanałami, potem Wołgą. Marzył o tym, żeby w jakiś sposób przepłynąć na Don. Niestety — nie było żadnego połączenia. Szukał przeróżnych wyjść. Nic z tego. Denerwował się coraz bardziej i coraz bardziej zacinał w swoim uporze. Musi, musi płynąć po Donie. Musi dojechać do swego rodzinnego miasta, a potem Morzem Azowskim na Morze Czarne. Kreślił przeróżne linie czerwonym ołówkiem. Chciał koniecznie przekopać jakieś kanały, ale dobrze nie wiedział w którym miejscu. Zresztą, robota takiego kanału musiałaby trwać bardzo długo, a on chciał zaraz, teraz, przenieść się na wody Donu. Wreszcie zniechęcony rzucił mapę w kąt. Od tej pory przestał podróżować. Mapa leżała zapomniana na ostatniej półce szafki. Któregoś dnia dowiedział się z gazet, że Towarzysz Stalin podał wspaniały projekt wybudowania kanału łączącego Wołgę z Donem. Wróciły dawne zainteresowania. Gorączkowo wyszukał porzuconą mapę. Tak. Teraz będzie mógł aż znad Morza Białego przenieść się nad Morze Czarne. Teraz? No nie. Za kilka lat. A gdyby tak on sam zaczął pracować przy budowie tego kanału? Nie. Chyba nie zdąży. Musi jeszcze zdać maturę, potem kilka lat wyższej uczelni... Ale to nie szkodzi. Będzie pracował przy innych kanałach. Na pewno takich potrzebnych kanałów znajdzie się bardzo wiele.

I rzeczywiście. Po zdaniu matury wstąpił do Instytutu Inżynierii Wodno - Lądowej. Przez cały czas gorączkowo śledził postępowanie robót przy budowie kanału Wołga — Don. Wybuch wojny przerwał i budowę kanału, i jego studia. Poszedł na front. W 43 roku zdziwił się trochę, gdy dowiedział się, że jego dywizja zostaje skierowana na Kałacz:

— Czyż przypadnie mi w udziale zamiast budowania, bronienie kanału? Nie mylił się. Właśnie jego dywizja w Kałaczu zamknęła żelazną obręczą hitlerowskie armie szturmujące Stalingrad i zmiażdżyła je. Nawet nie zdążył obejrzeć z bliska, jak daleko postąpiły roboty — trzeba było pędzić faszystów z rodzinnej ziemi, za Don, Dniepr, Bug.

Po wojnie wrócił do przerwanych studiów. Skończył Instytut z odznaczeniem. Najpierw odbył praktykę przy budowie kanału Turkmeńskiego. Ale ciągnęło go bardzo nad Don, do innego, wymarzonego kanału. Marzenia spełniły się.

*

SZEDŁ teraz brzegiem Donu zostawiwszy daleko w tyle ukochaną robotę. Uśmiechnął się do swych dziecięcych marzeń. Jakież były naiwne i egoistyczne. Marzył o wybudowaniu kanału tylko po to, aby zaspokoić swe własne zachcianki. Nie przyszło mu wtedy nawet na myśl, jakie wielkie znaczenie dla budowy komunizmu ma kanał Wołga — Don. Jakież wielkie znaczenie gospodarcze. Łączy pięć mórz. Ba, ba — to nie fraszka. Bałtyk, Morze Białe, Morze Czarne, Azowskie i Kaspijskie. Z północy na południe i z południa na północ popłyną bez przeszkód barki i statki z towarami. Zagłębie Donieckie dostarczy tą drogą węgiel i rudy ośrodkom przemysłowym na północy, a znów północ dostarczy Zagłębiu Donieckiemu, Ukrainie, Krymowi, Kaukazowi drzewo ze swoich bogatych lasów. Zacznie się wygodna wymiana towarowa. Nie pomyślał o tym dawniej. Chociaż... przecież i turyści skorzystają z tego wspaniałego kanału. Będą mogli zwiedzić kraj od północy do południa, nie schodząc na brzeg.

Z zamyślenia wyrwało go czyjeś serdeczne pozdrowienie.

— Jak się macie towarzyszu inżynierze! Ledwo was w mroku poznałem. Co tak sami, po ćmaku, zmartwienie macie jakie, czy co?

Siergiej zmieszał się — jak małe dziecko złapane na gorącym uczynku.

— Ach to wy, Kuźmo Aleksiejewiczu. Nie, nie mam żadnego zmartwienia. Ot tak sobie po robocie spaceruję. Wspominam. Ale wy, co tu robicie?

— A do was na pogawędkę idę. A że też lubię spacer, więc poszedłem tędy nad rzeką.

— No to wracajmy. — Siergiej wziął pod ramię starego kołchoźnika. Lubił tego obrotnego, pełnego życia staruszka, który przyjechał niedawno do Kałacza ze swego kołchozu leżącego w dole rzeki o kilkanaście kilometrów od budującego się kanału. Kuźma Aleksiejewicz przyjechał, żeby zobaczyć, jak szybko posuwają się roboty przy budowie kanału. Ma w tym swój własny interes. A właściwie nie tyle swój własny, co całego kołchozu. Przecież budowa kanału nie tylko przyniesie korzyść w transporcie. Wyschnięte, stepy wstaną już niedługo nawodnione wodami z kanałów, które powstaną tu w związku z budową kanału Wołga — Don. Dlatego właśnie Kuźma przyjechał, żeby poszperać, wywiedzieć się kiedy, jak i co.

— Wiecie co Kuźmo Aleksiejewiczu? Myślałem właśnie o tym wielkim dobrodziejstwie, jakim jest budowa naszego kanału dla nas wszystkich, ludzi Związku Radzieckiego. Nie będzie przecież człowieka na naszej ziemi, który tego nie odczuje.

Kuźma uśmiechnął się.

— Nie potrzebujecie mi tego mówić towarzyszu inżynierze. O tym samym właśnie myślałem.

— Pomyślcie, Kuźmo Aleksiejewiczu, nasz kanał będzie gotowy na wiosnę 52 roku, a w Ameryce podobno jedną elektrownię wodną budują już 40 lat i jeszcze nie jest gotowa. I gdzie to ich przysłowiowe tempo amerykańskie?

— Ech, tempo to oni mają jeśli chodzi o produkcję broni.

Siergiej roześmiał się w głos.

— To tylko świadczy o naszej wyższości nad nimi. Tu Siergiej wskazał reką w stronę budującego się kanału, tak jakby w mroku stary kołchoźnik mógł coś dojrzeć.

JOANNA DĄBROWSKA

ZŁAMANA NARTA

(c. d. ze str. 5-ej)

w lewo i potem między kępkami sosen zjechać w dół, do strumienia. Tutaj najłatwiej było zgubić się, stracić czas zdobyty na trasie i punktach.

Włodek usiadł na pieńku i czekał.

Nagle z drugiego końca lasu oderwała się jakaś sylwetka; rosła w oczach, nabierała koloru. Już widać było czerwony sweter i białe nauszniki. Włodek silniej ścisnął kijki.

— Nasi! To Stasiek...

Ale Stasiek jechał sam i — co najgorsze — skręcał za bardzo w lewo. Dopiero po chwili zza drzew wypadli trzej następni. Włodek szybko zrozumiał niebezpieczeństwo: zgubią się, nie zobaczą Staśka między choinkami...

kiego śniegu przysłonił na chwilę widok: Stasiek stał nieruchomo, oglądając złamaną nartę.

Włodek już się nie zastanawiał. Kilka ruchów kijkami, i był przy Staśku.

— Przepinaj! — krzyknął.

— Przepinaj prędko... — Zdjął swoje narty — Stasiek, nie marudź — szeptał gorączkowo. — Czas! Musisz nadrobić czas...

Nie wiadomo co trwało dłużej, czy zdziwienie Staśka, czy przepinanie nart. A potem Stasiek śmignął w dół za tamtymi. Trzy sylwetki w tym momencie wjeżdżały już między sosny.

* * *

Bieg wygrał patrol Staśka. Ustalono jednak, że z pozo-

Od Igrzysk dzieli nas tylko kilka dni. Najważniejsza konkurencja — to bieg patrolowy. Przygotujmy się dobrze do niego.

— To dobrze — ucieszył się złośliwie. — Niech wiedzą, że beze mnie nie wygrają.

Ale druga myśl była szybsza:

— To przecież nasi, to jednak moja klasa, moja drużyna, chodzi o honor całej szkoły.

Błyskawicznie wstał. Tamci trzej zbliżali się już do czerniejącego w dole lasu. Staśka nie było. Włodek rozejrzał się:

— No pewno w tym zagajniku.

— Odepchnął się kijkami, szusował na zagajnik. Nigdy człowiek nie myśli tak szybko, jak w podobnych chwilach:

— Może złamał nogę.. albo rękę? Coś się stało — przegrają... Przegramy — poprawił się w myśli. — Patrol musi ukończyć bieg w komplecie!...

Wreszcie zagajnik, ostatni gwałtowny skręt, i słup syp-

stałych grup wybierze się czterech najlepszych narciarzy i do Szklarskiej Poręby pojadą dwa patrole.

Kiedy następnego dnia przewodniczący rady, Geniek Widera opowiadał na nadzwyczajnym zebraniu, jak doszło do zwycięstwa — nie miał już wątpliwości. Jego propozycję, żeby do drugiego patrolu wybrać Włodka Mroza, cała szkoła przyjęła wśród oklasków, z entuzjazmem. Był tylko jeden warunek: Włodek musi podczas ferii zimowych „podciągnąć się" z historii. Obiecali mu zresztą w tym pomóc.

* * *

I teraz Włodek, siedząc w wagonie i patrząc na kolegów w różnych śmiesznych pozach, myślał o dwójce z historii, o pomocy koleżeńskiej, wreszcie o złamanej narcie, która pomogła mu zrozumieć, co to znaczy harcerz - sportowiec.

»SWIAT MŁODYCH« — Pismo Harcerskie
WYDAJE: Zarząd Główny ZMP, nakładem Sp. Wyd. - Ośw. »Czytelnik«
REDAGUJE: Komitet
ADRES REDAKCJI: Warszawa, Dworkowa 1/3, tel. 432-57, 432-58.
ADRES ADMINISTRACJI: Warszawa. ul. Wiejska 12
ADRES PRENUMERATY I KOLPORTAŻU: PPK „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25.
WARUNKI PRENUMERATY: miesięcznie 90 gr., kwartalnie 2.70 zł półrocznie 5.40 zł. Zamawiać na adres administracji wpłacając na konto PKO Nr 18001, prócz tego do 20-go każdego miesiąca listonosze i urzędy pocztowe w całym kraju przyjmują wpłaty na prenumeratę zleconą Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży nr 16. ul. Chmielna nr. 25.
2-B-10945